

Profesor opuszcza scenę

Henry Kuttner

My, Hogbnowie, jesteśmy bardzo zamknięci w sobie. Ten , profesor z miasta mógłby o tym wiedzieć, ale skąd przylazł, choć go nikt nie prosił. Uważam, że przynajmniej nie powinien mieć potem pretensji. U nas w Kentucky wtykanie nosa w cudze sprawy nie należy do dobrego tonu. A, wszystko się zaczęło od tego, jakieśmy się pozbyli młodych Haleyów za pomocą tej strzelby, cośmy ją zmagistrowali własnym przemysłem. Tyle żeśmy tak na dobrą sprawę sami właściwie nie wiedzieli, jak ona działa - no więc poszło od tego, jak Rafe Holey zaczął przez okno szopy podglądać Małego Sama. A potem chodził i opowiadał że Mały Sam ma trzy głowy czy coś w tym rodzaju.

Nie można wierzyć w ani jedno słowo z tego, co opowiadały te chłopaki Holeyów. Trzy głowy! Przecież to wbrew naturze, no nie? Każdy wie, że Mały Sam ma tylko dwie głowy i nigdy nie miał więcej.

No więc skleciliśmy z mamą coś w rodzaju strzelby i takeśmy naszpikowali tych młodych Haleyów, że aż miło. Jak już mówiłem, samiśmy nie mogli z mamą skapować, jak to urządzenie działa. Poszczepialiśmy do kupy kilka baterijek, cewek, kawałków drutu i różnych różności i to wystarczyło, żeby z Rafe'a zrobić sitko.

Według orzeczenia koronera młodzi Haleyowie zginęli nagłą śmiercią, a szeryf Abernathy przyszedł, popił z nami samogonu i powiedział, że spierze mnie na kwaśne jabłko. Ale co mi tam, wcale się nie przejąłem. Tyle że jakiś cholerny reporter musiał coś wywęszyć, bo wkrótce potem zjawił się tłusty, bardzo poważny facet i zaczął zadawać pytania. .

Wujek Les siedział na ganku, z kapeluszem no twarzy.

- Pan się lepiej wynosi z powrotem do tego swojego miasta - powiedział wujek i zniknął .

Grubas oszołomiony zajrzał pod fotel , na którym siedział wujek .

- Ach, on tu gdzieś jest - wyjaśniłem. - Tylko że go nie widać. Powiada, że tak woli.

- Hmm - mruknął Galbraith - To ile, powiadasz, masz lat?

- Ja tam nic na ten temat nie mówiłem

- A jak najdalej sięgasz pamięcią ?

W ogóle nie sięgam. To tylko zaśmieca głowę.

- Fantastyczna historia - powiedział Galbraith. - Nie przypuszczałem, że będę miał dla fundacji takie wiadomości.

- My nie lubimy, jak nam się ktoś wtrąca w nasze sprawy. Niech pan sobie idzie i zostawi nas w spokoju.

- Wielkie niebo! - spojrzał przez poręcz ganku i zobaczył naszą strzelbę. - A to co znów takiego?

- A, takie coś - wyjaśniłem.

- A do czego to służy?

- Do różnych rzeczy.

- O, a mogę to obejrzeć?

- Proszę bardzo - odparłem. - Dam panu nawet to urządzenie, pod warunkiem, że pan się stąd wyniesie.

Podszedł i zaczął, się przyglądać. Tata, który siedział sobie koło mnie, podniósł się, powiedział mi, żebym się pozbył tego cholernego jankesa, i wszedł do domu. Profesor wrócił.

- Niezwykłe! - powiedział. - Mam pewne przygotowanie, jeśli chodzi o elektronikę, i wydaje mi się, że macie tu bardzo osobliwą rzecz. Jaka jest zasada jej działania?

- Jakie jest co? - spytałem. - Po prostu robi w różnych rzeczach dziury.

- Pociskami nie da się z tego strzelać. Tam, gdzie powinien być zamek, macie kilka soczewek... jak, powiadasz, działa to urządzenie?

- Nie wiem.

- A to ty je skonstruowałeś?

- Ja z mamą.

I zadał mi jeszcze bardzo dużo pytań.

- Nie wiem - powtórzyłem. - Ze strzelbą jest taka niewygoda że trzeba ją stale ładować, więc pomyśleliśmy, że jak te różne rzeczy poszczepiamy do kupy, to już jej nie trzeba będzie ładować. I rzeczywiście nie trzeba.

- Czy mówiłeś poważnie, że mógłbyś mi to dać?

- Jak pan się od nas odczepi.

- Wiesz co - powiedział - to chyba cud. że wy, Hogbenowie, tak długo się uchowaliście.

- Mamy swoje sposoby.

- Teoria dotycząca mutacji musi być słuszna. Powinniście stać się przedmiotem studiów. To jedno z najważniejszych odkryć od czasów... - i nawijał tak dalej w kółko. Zupełnie bez sensu.

W końcu doszedłem do wniosku, że są tylko dwa sposoby na opanowanie sytuacji, a po tym, co powiedział szeryf Abernathy, nie chciałem nikogo zabijać, dopóki mu się humor trochę nie poprawi. Po co robić szum.

- A gdybym tak się wybrał z panem do Nowego Jorku, jak pan sobie tego życzy? Zostawi pan resztę rodziny w spokoju?

Obiecał mi tak na pół, chociaż wcale nie miał na to ochoty. Ale ustąpił i przeżegnał się, kiedy powiedziałem, że obudzę Małego Sama. Bardzo chciał zobaczyć Małego Sama, ale mu wytłumaczyłem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Mały Sam i tak nie pojedzie do Nowego Jorku.

Musi siedzieć w swoim pojemniku, bo inaczej by się bardzo rozchorował.

Tak czy siak, profesor był całkiem zadowolony i sobie poszedł, jak mu obiecałem, że nazajutrz rano spotkam się z nim w mieście. Na samą myśl o tym robiło mi się mdło, mówię wam. Nie rozstawałem się z rodziną na dłużej niż na jedną noc od czasów tej awantury, jaka wybuchła jeszcze w starym kraju, skąd musieliśmy się wynosić naprawdę w pośpiechu.

Pojechaliśmy wtedy do Holandii, o ile pamiętam. Mama na zawsze zachowała w sercu faceta, który nam pomógł opuścić Londyn. Na jego cześć nazwała Małego Sama.

Zapomniałem już, jak on się nazywał ...Gwynn czy Stuart, czy Pepys - wszystko mi się myli, jak usiłuję sięgnąć pamięcią dalej niż do wojny Północy z Południem.

Tego wieczoru wszyscy się kłócili. Tato był niewidzialny, więc mama myślała, że nadużył samogonu, ale szybko zmiękła i dała mu gąsiorek. Wszyscy mi mówili, żebym pilnował własnego nosa.

- Ten profesorek jest bardzo mądry - powiedziała mama. - Wszyscy profesorowie są tacy. I nie dokuczaj mu, bo oberwiesz ode mnie.

- Będę grzeczny, mamusiu - obiecałem. Tata dzielił mnie przez łeb, bardzo zresztą nie fair, bo go przecież nie widziałem.

- A to, żebyś pamiętał, co się do ciebie mówi - dodał .

- My jesteśmy prości ludzie - burczał pod nosem wujek Les. - Jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło z tego, jak człowiek usiłuje przeskoczyć samego siebie.

- Ale słowo daję że ja nic takiego nie miałem na myśli - broniłem się. - Uważałem tylko...

- Już ty nie kuś licha - powiedziała mama i właśnie w tej chwili usłyszeliśmy, jak się dziadek poruszył na strychu. Czasami nie drgnie i przez miesiąc, ale dziś był jakoś dziwnie ożywiony. No więc naturalnie poszliśmy na górę zobaczyć, o co mu chodzi.

Mówił o profesorze.

- To jakiś cudzoziemiec, co? Niech to wszyscy diabli. Za dobry byłem i dlatego teraz mam koło siebie kupę idiotów! Jeden Saunk, co ma trochę oleju w głowie, ale niech mnie dunder świśnie, jeśli to nie najgorszy osioł z was wszystkich.

Przestępowałem z nogi na nogę i mruczałem coś pod nosem, a to dlatego, że nie lubiłem patrzeć wprost na dziadka. Ale on nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, tylko pieklił się dalej :

- To co, wybierasz się do Nowego Jorku, tak? Do stu piorunów, już zapomniałeś, jak unikaliśmy Londynu i Amsterdamu, i Nieuw Amsterdamu ze strachu, że nas będą pytać? Zaprawdę, czy chcesz, aby cię pokazywali na jarmarkach jak małpę w klatce? Zresztą to wcale nie jest największe niebezpieczeństwo.

Dziadek jest najstarszy z nas i czasem, jak zaczyna mówić, mylą mu się wszystkie możliwe języki. Język, którego się człowiek nauczy w dzieciństwie, zostaje mu już jakoś na całe życie. Jedno, co trzeba dziadkowi przyznać, to, że kłąć potrafi jak nikt.

- Bzdura - powiedziałem. Po prostu chciałem pomóc.

- Ty głupi smarkaczu - rzekł dziadek. - To wszystko twoja wina, żeby cię pokręciło. Po coś zbudował to piekielne urządzenie, które wybiło całe plemię Hateyów? Gdyby nie ono, nigdy by się ten uczoney tutaj nie pokazał.

- To jest profesor - wyjaśniłem. - Nazywa się Thomas Galbroith.

- Wiem. Podłączyłem się do jego myśli przez umysł Małego Sama. Niebezpieczny facet . Jak każdy uczoney. Może z wyjątkiem Rogeta Bacona, a i jego musiałem przekupić... ale Roger to był człowiek wyjątkowy. Posłuchaj! Żadne z was nie pojedzie do Nowego Jorku. Jak już raz opuścimy to schronienie i wezmą nas na spytki, jesteśmy zgubieni. Ta banda rozerwie nas na sztuki. Nawet twoje zwariowane loty cię nie uratują, słyszysz mnie, Lesterze?

- Ale co mamy robić - zapytała mama.

- Do diabła! - odezwał się tata. - Już ja załatwię tego profesorka. Wrzucę go do studni.

- Aha, żeby zepsuł całą wodę? - zaskrzeczała mama. - Tylko spróbuj !

- Co za podłe nasienie wydałem na świat! - powiedział dziadek, wściekły jak wszyscy diabli. - Czyż nie obiecywaliście szeryfowi, że nie będzie więcej zabójstw... przynajmniej przez jakiś czas? Czy słowo Hogbena już nic nie znaczy? Dwie rzeczy były od wieków dla nas święte: nasza tajemnica

przed światem i honor Hogbenów. Zabijcie tylko tego Galbraitha, a odpowiecie za to przede mną !

Wszyscy zrobiliśmy się biali jak ściana. Mały Sam obudził się i zaczął piszczeć.

- Ale co robić? - zaniepokoił się wujek Les.

- Nasza tajemnica to rzecz święta - powiedział dziadek. - Róbcie, co tam które może, byleby bez zabijania .Rozważę tę sprawę.

Wydawało się, że szykuje się do snu, ale z dziadkiem to nigdy nie wiadomo.

Nazajutrz rzeczywiście spotkałem się w mieście z Galbraithem, owszem, ale przedtem natknąłem się na ulicy na szeryfa Abernathy'ego, który spojrzał na mnie spode łba.

- Nie rodzę ci szukać guza, Sounk - powiedział. - Słuchaj dobrze, co ci mówię. - Było to bardzo krępujące.

W każdym razie zobaczyłem się z Golbroithem i powiedziałem mu, że dziadek mi nie pozwala jechać do Nowego Jorku. Profesor nie był z tego specjalnie zadowolony, ale widział, że nic nie poradzi.

Jego pokój w hotelu wypełniały różne naukowe aparaty , trochę to w sumie było przerażające. Miał tę naszą strzelbę pod ręką, ale nie widziałem, żeby coś w niej zmienił. Zaczął mnie przekonywać.

- Szkoda słów - powiedziałem. - Nie opuszczamy wzgórz. Wczoraj gadałem głupstwa, i tyle.

- Posłuchaj,- Saunk. Rozpytywałem o was, Hogbenów, tu w okolicy, ale niewiele się dowiedziałem. Tutejsi ludzie trzymają język za zębami. Ale i tak to, co by ewentualnie powiedzieli, potwierdzałoby jedynie fakty. Wiem, że nasza teoria jest słuszna. Ty i twoja rodzino jesteście mutantami i powinniście zostać poddani badaniom.

- My nie jesteśmy żadnymi mutantami - odparłem. - Uczeń zawsze nam przyczepiają jakieś przezwisko. Rogar Bocon nazywał nas homunkulusami, te... tylko że...

- Co takiego! - wykrzyknął Galbraith. - Kto taki, powiedziałeś ?

- Hm... to znaczy... to jest taki dzierżawca z sąsiedniego okręgu - wyjaśniłem pośpiesznie, ale widać było, że profesor tego nie kupił. Zaczął się przechadzać po pokoju:

- To nie ma najmniejszego sensu - rzekł wreszcie. - Jeżeli nie pojedziesz ze mną do Nowego Jorku, to spowodują, że fundacja przyśle tu komisję. Trzeba przeprowadzić nad wami studia dla chwały nauki i dobra ludzkości.

- Rany - jęknąłem. - Już ja wiem, co z tego wyniknie. Wystawicie nas na pośmiewisko. Mały Sam by tego nie przeżył. Musi pan nas zostawić w spokoju.

- Zostawić was w spokoju ! Skoro wy potraficie zbudować aparat w tym rodzaju ! - Wskazał na strzelbę. - A może mi powiesz, jak to działa - zainteresował się nagle.

- Już panu mówiłem, że nie wiem. Po prostu jakoś to skleciliśmy. Niech pan posłucha, profesorze, jak ludzie zaczną przyłazić i nam się przyglądać, mogą być kłopoty. I to spore. Tak mówi dziadek.

Galbroith pociągnął się za nos.

- No może... a gdybyś mi tak wobec tego odpowiedział na kilka pytań, Saunk ?

- A nie będzie komisji ?

- Zobaczymy.

- Nie, proszę pana ja nie będę...

Galbraith zaczerpnął tchu.

- Jeżeli powiesz mi to, co chciałbym wiedzieć, nie zdradzę, gdzie jesteście.

- A ja, myślałem, że to pańsko... jak jej tom... fundacja wie gdzie pan przebywał

- Jasne, że wiedzą - odparł Galbroith. - Ale nie wiedzą o was.

To mi podsunęło pewną myśl. Oczywiście mogłem go bardzo łatwo zabić, ale wiem, że dziadek by mnie za to zniszczył całkowicie, a poza tym był jeszcze przecież szeryf.

Więc powiedziałem "A niech tom" i skinąłem głową.

O rany, ale co to były za pytania! W głowie mi się od nich kręciło. A profesor był coraz bardziej podniecony.

- W jakim wieku jest twój dziadek ?

- A bo ja wiem.

- Homunkulusy... hmm... Wspominałeś, że był kiedyś górnikiem.

- Nie, górnikiem był tata dziadka. Wydobywali cynę, jeszcze w Anglii. Tylko że dziadek mówi, że to się wtedy nazywała Brytania. To było w czasie takiej wielkiej zarazy, która tam panowała. I ludzie musieli wzywać doktorów... Drudów ? Drunów ?

- Druidów?

- Aha. Druidzi byli wtedy doktorami, mówi dziadek. - W każdym razie górnicy w całej Kornwalii zaczęli wymierać, więc pozamykano kopalnie.

- A co to była za zaraza ?

Powiedziałem mu tyle, ile zapamiętałem z tego, co mówił dziadek. Profesor bardzo się podniecił i zaczął coś mówić chyba o promieniowaniu radioaktywnym, o ile mogłem się zorientować. Jakieś straszliwe bzdury.

- Sztuczne mutacje wywołane przez radioaktywność?! - wykrzyknął i zrobił się czerwony na twarzy. - Twój dziadek urodził się mutantem! Powstał nowy układ chromosomów i genów. O, Boże, przecież wy możecie być superludźmi!

- A skąd. Jesteśmy po prostu Hogbenami. Nic więcej.

- Mutacja dominująca, oczywiście, dominująca. Czy wszyscy w rodzinie byli... byli jacyś... no... dziwni ?

- No wie pan!

- To znaczy, czy wszyscy potrafili latać ?

- Ja to jeszcze nie potrafię. Ale owszem, myślę, że jesteśmy trochę dziwaczni. Dziadek to jest jednak mądry. Zawsze nam mówił żebyśmy siedzieli cicho i nie rzucali się w oczy.

- Maskowanie ochronne - powiedział Galbraith. Wtopione w surową obyczajowość ludową odchylenia od normy łatwiej dają się maskować. W cywilizacji nowoczesnej byłoby was widać jak na dłoni. Tu, w tej zapadłej dziurze, jesteście praktycznie niewidoczni.

- Tylko tata - powiedziałem.

- O, Boże! - westchnął profesor. - Ukrywać takie niewiarygodne naturalne możliwości... Czy wy przynajmniej wiecie, do czego bylibyście zdolni? - nagle jego podniecenie wzrosło jeszcze bardziej i muszę powiedzieć, że wyraz oczu Galbraitha wcale mi się nie spodobał.

- Coś wspaniałego - powtórzył. - To tak, jakby się natknąć na lampę Aladyna.

- Chciałbym bardzo. żeby pan nas zostawił w spokoju - powiedziałem. - Razem ze swoją komisją.

- Zapomnij o komisji. Postanowiłem, że przez jakiś czas będę się tą sprawą zajmował sam. Pod warunkiem, że mogę liczyć na twoją współpracę. To znaczy na pomoc. Możesz mi to obiecać?

- Nie - odparłem.

- No to przyślę z Nowego Jorku komisję - oświadczył z tryumfem.

Przemyślałem sprawę.

- Dobrze - powiedziałem w końcu. - Co pan chce, żebyśmy zrobili ?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział wolno. - Nie ogarnąłem jeszcze umysłem wszystkich możliwości.

Ale był gotów ogarnąć. Widziałem to. Po jego oczach. Stałem przy oknie i wyglądałem na ulicę. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Uświadomiłem sobie, że nie należy zbyt ufać profesorowi. Podsunąłem się nieznacznie do tej naszej strzelby i dokonałem w niej kilku niewielkich zmian.

Wiedziałem, co chcę zrobić, ale gdyby mnie profesor zapytał, dlaczego wygiąłem ten drut czy tamten wichajster, nie potrafiłbym odpowiedzieć. Nie mam żadnego wykształcenia. Wiedziałem tylko, że teraz to urządzenie będzie robiło to, co ja chcę.

Profesor coś pisał w swoim małym notatniku. Podniósł wzrok i zobaczył mnie.

- Co ty tam robisz? - chciał wiedzieć.

- Coś tu jest chyba nie w porządku - powiedziałem. - Musiał pan majstrować przy baterijkach. Niech no pan teraz spróbuje.

- Tutaj? - zapytał wystraszony. - Nie będę potem płacił za szkody. To urządzenie musi zostać wypróbowane w specjalnych warunkach, z zachowaniem środków ostrożności.

- Widzi pan ten kurek na dachu? - wskazałem palcem. - Jak pan w niego wyceluje, nie będzie żadnej szkody. Może pan stanąć tu przy oknie i spróbować.

- A to... to nie jest niebezpieczne? - Widziałem, że jest strasznie napalony, żeby wypróbować urządzenie. Zaczerpnął tchu, podszedł do okna i przytknął kolbę o policzka.

Cofnąłem się. Wołałem, żeby mnie szeryf nie zobaczył.

Siedział właśnie na ławce przed składem z paszą po drugiej stronie ulicy.

Stało się dokładnie tak, jak przewidziałem. Galbraith pociągnął za spust, celując w kurek na dachu, a z lufy zaczęły wylatywać świetliste koła. Rozległ się przeraźliwy hałas. Galbraith padł na wznak i zrobiło się straszliwe zamieszanie w całym mieście ludzie zaczęli wrzeszczeć.

Pomyślałem, że nie zawadzi, jak na chwilę stanę się niewidzialny. Więc się stałem.

Kiedy wpadł szeryf Abernothy, Galbraith właśnie oglądał strzelbę. Szeryf jest człowiek twardy, więc miał w pogotowiu pistolet i kajdanki i bardzo szybko zaczął wyklinać profesora.

- Widziałem pana! - wrzeszczał. - Wy, ludzie z miasta, myślicie, że tutaj możecie sobie, na wszystko pozwolić. No to wiedzcie, że jest inaczej!

- Saunk! - zawołał profesor rozglądając się dokoła, ale oczywiście nie mógł mnie zobaczyć.

Wybuchła kłótnia. Szeryf Abernathy widział, jak Galbraith strzela a przecież nie jest głupi.

Wywlókił profesora na ulicę i wtedy ja sobie grzecznie nadszedłem.

Ludzie latali dokoła jak szaleni. Większość trzymała się za twarze.

Profesor cały czas jęczał, że nic nie rozumie.

- Widziałem pana - mówił Abernathy. Wycelował pan z tego swojego interesu przez okno i od tej chwili wszystkich w mieście rozboleły zęby. Niech mi pan tylko nie mówi, że pan nic nie rozumie!

Szeryf jest bystry. Zna nas, Hogbenów, już wystarczająco długo, żeby się nie dziwić, kiedy dzieje się coś nie zwykłego. Wiedział też, że Galbroith jest uczonym. No więc wybuchło wielkie zamieszanie i jak ludzie usłyszeli, co się stało, chcieli normalnie Galbraitha zlinczować.

Ale Abernathy go zabrał. Przez jakiś czas włóczyłem się po mieście. Widziałem, jak pastor, zakłopotany, ogląda okna kościoła. Nie mógł zrozumieć, dlaczego witraże są gorące. Mógłbym mu to wytłumaczyć. W witrażach jest złoto, używają go do uzyskiwania pewnego rodzaju czerwieni.

Wreszcie udałem się do więzienia. A że byłem w dalszym ciągu niewidzialny więc zacząłem podsłuchiwać co Galbraith mówi do szeryfa.

- To sprawko Saunka Hogbena - upierał się profesor. - Mówię panu, że to on zmajstrował coś przy projektorze.

- Ale ja widziałem pana - nie ustępował Abernathy. - To pan to zrobił. Auu! - Złapał się za szczękę. - Ale radzę panu przestać, i to szybko! Ten tłum tam na zewnątrz nie żartuje. Połowo ludzi w mieście cierpi na ból zębów.

To znaczy że połowa ludzi w mieście miała złote plomby.

I wtedy Golbroith powiedział coś ca mnie specjalnie nie zdziwiło.

- Ja tu sprowadzę komisję z Nowego Jorku, zadzwonię dziś wieczór do fundacji, oni za mnie poręczą.

Chciał nas wszystkich wyprowadzić w pole czułem, że o to mu chodzi.

- Albo pan wyleczy z bólu zębów i mnie, i wszystkich innych, albo otworzę drzwi i wpuszczę ten cały tłum, żeby pana zlinczował! - pieklił się szeryf. A potem wyszedł, żeby sobie przyłożyć do policzka woreczek z lodem. Wymknąłem się i znów zrobiłem się widzialny. Nadchodząc specjalnie hałasowałem, żeby mnie Galbraith usłyszał. Cały czas stałem z głupią miną czekając, aż mnie przestanie kłać.

- Chyba coś musiało mi się pomylić - powiedziałem. - Ale jak trochę pomajstruję...

- Dość tego ,twojego majstrowania! - przerwał. - Zaczekaj chwilę! Co ty takiego powiedziałaś? Że jak pomajstrujesz, to wyleczysz... z czego ty tych ludzi wyleczysz ?

- Ja miałem na myśli tę strzelbę - powiedziałem. - Wydaje mi się, że wiem, gdzie popełniłem błąd. Ona jest w tej chwili chyba nastawiona na złoto i całe złoto w mieście teraz promieniuje czy nagrzewa się, czy jeszcze coś tam innego.

- Indukowana selektywna promieniotwórczość - mruknął Golbraith, co właściwie nic nie znaczyło. - Posłuchaj, czy ten tłum tam na zewnątrz... czy oni tu często dokonują aktów linczu ?

- Nie częściej niż raz, dwa razy do roku - powiedziałem. - Ale w tym roku już dwa lincze mieliśmy, więc wyczerpaliśmy limit. Chyba byłoby dobrze, gdybym mimo to zabrał pana do nas. Bez trudu możemy pana ukryć.

- Rzeczywiście lepiej coś zróbcie - powiedział - bo jeśli nie, to sprowadzę tę komisję z Nowego Jorku. Nie bylibyście chyba tym zachwyceni, co ?

Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak łgał i nawet mu powieka nie drgnęła.

- Ma pan to jak w banku - zapewniłem go. - Mogę tak podregulować nasze urządzenie, że natychmiast odetnie promieniowanie. Tylko bym nie chciał, żeby ludzie kojarzyli to, co się dzieje z nami, Hogbenami. My jesteśmy skromni. My nie lubimy robić wokół siebie szumu.

Niech pan posłucha: pójde teraz do hotelu i podreguluję strzelbę, a pan będzie musiał tylko zebrać tych wszystkich ludzi, których bolą zęby, w jednym miejscu i pociągnąć za spust.

- Dobrze, ale ...

Bał się, że wynikną z tego jeszcze większe kłopoty. Musiałem go namawiać. A że zebrany na zewnątrz tłum darł się jak opętany, nie było to specjalnie trudne. Wreszcie poszedłem, ale wróciłem, tyle że niewidzialny i przysłuchiwałem się temu co Galbraith mówił do szeryfa.

Ustalili że każdy, kogo bolą zęby, stawi się w ratuszu. A potem Abernathy miał przyprowadzić profesora, z tą strzelbą naturalnie, i mieli ją wypróbować.

- Ale czy to urządzenie wyleczy wszystkich z bólu zębów? - chciał wiedzieć szeryf. - Na pewno?

- Ja,.. ja jestem pewien, że tak.

Abernathy pochwycił nutę wahania w jego głosie.

- Lepiej niech pan to najpierw na mnie wypróbuje. Po prostu, żeby się upewnić. Nie ufam panu.

Wyglądało na to, że nikt nikomu nie ufa.

Powędrowałem z powrotem do hotelu i przestawiłem strzelbę. I wtedy właśnie wpadłem w tarapaty. Moja niewidzialność zaczynało już prześwitywać. Takie są właśnie kłopoty wynikające z tego, że się nie jest całkiem dorosłym.

Jak będę o kilkaset lat starszy, będę mógł pozostawać niewidzialny tak długo jak zechcę. Ale jeszcze nie opanowałem tej sztuki na dobre. Chodziło o to, że potrzebna mi była pomoc, bo musiałem coś zrobić, a nie mogłem tego zrobić na oczach innych.

Wlazłem na dach i zawołałem Małego Sama. Jak tylko się podłączyłem do jego świadomości, spowodowałem, że nawiązał kontakt z tatą i wujkiem Lesem. Po chwili sfrunął z nieba wujek Les, ale ciężko mu to szło, bo dźwigał tatę. Tato klął jak wszyscy diabli, bo po drodze ścigał ich jastrząb .

- Nikt nos nie widział - powiedział wujek Les. Tak mi się w każdym razie wydaje.

- Tu w mieście, ludzie mają głowy przygięte własnymi kłopotami - zapewniłem go. - Potrzebna mi jest pomoc. Ten profesor wezwie tu swoją komisję i zaczną badania nad nami, niezależnie od jego obietnic.

- W tej sytuacji niewiele da się zrobić - powiedział tata. - Nie możemy zabić tego faceta. Dziadek nie kazał

Wtedy wyluszczyłem im swój pomysł. Tata będąc niewidzialny mógł się tego podjąć z łatwością. Zrobiliśmy sobie na dachu takie małe miejsce przez które wszystko było widać, i zajrzeliśmy do pokoju Galbraitha.

I w samą porę. Szeryf stał z wyciągniętym pistoletem i czekał, a profesor blady jak ściana, mierzył ze strzelby w Abernathy'ego. Wypaliła bez kopnięcia. Galbraith pociągnął za spust, wyskoczyło czerwone kółko światła, i to wszystko. Tyle że szeryf otworzył usta i przełknął.

- A jednak pan nie oszukiwał! Przestało mnie boleć!

Galbraith, zlany potem, robił dobrą minę do złej gry.

- Mówiłem, że to urządzenie jest niezawodne - powiedział. - Naturalnie. Mówiłem.

- Idziemy do ratusza. Wszyscy czekają. Lepiej niech pan i tamtych wyleczy, bo może być z panem źle.

Wyszli. Tata wymknął się za nimi o wujek Les złapał mnie i pofrunęliśmy ich śladem, nisko nad dachami, tak żeby nas nikt nie zobaczył. Po chwili zatrzymaliśmy się przed jednym z okien ratusza, skąd mogliśmy widzieć, co

się dzieje wewnątrz.

Od czasów tamtej wielkiej zarazy w Londynie nie widziałem tyle nieszczęścia naraz. Ratusz był pełen ludzi, a wszystkich bolały zęby - jeden-jęk i wrzask. W pewnej chwili wszedł Abernathy prowadząc ze sobą profesora ze strzelbą i na ich widok krzyki jeszcze się wzmogły.

Galbraith oparł strzelbę na podium, celując w publiczność, a w tym czasie szeryf wyciągnął pistolet i założył mowę. Kazał się wszystkim zamknąć, to się pozbędą bólu zębów.

Taty naturalnie nie widziałem, ale wiedziałem, że stoi na podium. Coś dziwnego zaczęło się dziać ze strzelbą.

Nikt oprócz mnie tego nie zauważył, a ja nie spuszczałem jej z oka. Tata - oczywiście niewidzialny - dokonał kilku zmian. Powiedziałem mu, co ma robić, ale on sam wiedział nie gorzej ode mnie, więc już po chwili nasze urządzenie było ustawione tak, jak sobie tego życzyliśmy.

To, co się zaczęło dziać zaraz potem, było wstrząsające.

Galbraith wycelował w tłum i pociągnął za spust - wyleciały świetliste koła, tym razem żółte. Powiedziałem tacie, że ma tak ustawić zasięg rażenia strzelby, żeby nikt poza ratuszem nie został poszkodowany. Ale wewnątrz...

Co do bólu zębów, to sprawa rzeczywiście została załatwiona. Trudno, żeby kogoś bolała złota plomba, jak jej nie ma.

Nasze urządzenie było teraz ustawione w ten sposób, że działało na wszystko, co nieżywe. Tata wyregulował zasięg akurat dobrze. Nagle poszły wszystkie krzesła i część żyrandola. Publika, zbита w gromadę, też nieźle oberwała: Jaffe'owi Kulasowi wyleciało szklane oko. Ci, co mieli sztuczne zęby, też je potracili. A zarazem wszystkich jakby trochę przystrzygło. No i zostali bez ubrania. Buty przecież nie są żywe, tak samo spodnie, koszule czy sukienki.

W okamgnieniu wszyscy stali goli jak ich Pan Bóg stworzył!. Ale, do licha, przecież pozbyli się bólu zębów, no nie?

W godzinę później spotkaliśmy się w domu wszyscy, z wyjątkiem wujka Lesa, kiedy nagle otworzyły się drzwi i wpadł wujek, ciągnąc za sobą potykającego się profesora. Galbraith był wykończony - padł na krzesło zaspany, niespokojnie oglądając się na drzwi.

- Zabawna rzecz się stała - powiedział wujek Les. - Lecę sobie za miastem a tu patrzę: profesor ucieka co sił w nogach przed wielkim tłumem. Niektórzy z tych ludzi byli pozawijani w prześcieradła, ale tylko niektórzy. No to go wzięłem i przyniosłem tutaj, tak, jak sobie tego życzył. - Wujek Les mrugnął do mnie.

- Oooh! - jęknął Galbroith. - Aaach. Czy są już blisko?

Mama podeszła do drzwi.

- Widzę dużo latarek, wspinają się pod górę - powiedziała. - Nie wygląda to dobrze.

Profesor spojrział na mnie spode łba.

- Powiedziałeś, że możesz mnie ukryć! Ukryj mnie szybko! To wszystko twoja wina.

- Bzdura - odparłem.

- Ukryjesz mnie albo... - wrzasnął - ...albo sprowadzę tę komisję!

- Zgoda. Ale jeżeli ukryjemy pana w bezpiecznym miejscu, to czy zapomni pan o tej swojej komisji i zostawi nas w spokoju?

Profesor obiecał.

- Chwileczkę. - Poszedłem na strych zobaczyć się z dziadkiem.

Akurat nie spał.

- No i co zrobimy z tym fantem, dziadku? - spytałem.

Przez chwilę słuchał Małego Sama.

- Ten łotr kłamie - powiedział mi bardzo szybko. - I tak nie bacząc na dane słowo zamierza tu sprowadzić tę swoją zakichaną komisję.

- To co? Mamy go ukryć?

- Tak - odpowiedział dziodek. - Hogbenowie dali słowo, więc nie będzie więcej zabijania. A ukrycie zbiega przed ścigającymi to chyba czyn godny, nie sądzisz?

Niewykluczone, że mrugnął przy tych słowach. Z dziadkiem nigdy nie wiadomo. No to zszedłem na dół po drabinie. Galbraith stał przy drzwiach i obserwował zbliżające się latarki.

Złapał mnie za rękę.

- Saunk! Jeśli mnie nie ukryjesz...

- Ukryjemy pana - zapewniłem go. - Proszę za mną.

Wzięliśmy go do piwnicy...

Kiedy wpadł do nas tłum z szeryfem Abernathym na czele, udaliśmy głupich. Pozwoliliśmy im przeszukać dom. Mały Sam i dziadek stali się na chwilę niewidzialni, więc nikt ich nie zauważył. No, a profesor znikł naturalnie jak

kamfora. Ukryliśmy go dobrze, tak jakeśmy mu obiecali. To ,było kilka lat temu. Profesor ma się znakomicie. Tyle że to nie on prowadzi badania nad nami. Czasami wyjmujemy butelkę, w którą go nabiliśmy, i wtedy to my prowadzimy badania nad nim.

A to cholernie mała butelka!